

MARCIN ADAMCZAK
Poznań

NAPIĘCIA W RELACJACH TRANSATLANTYCKICH NA TLE WOJNY W IRAKU PERSPEKTYWA TEORETYCZNA

Spory wokół wojny w Iraku i gwałtowność reakcji po obu stronach Atlantyku wielu wydawały się zaskakujące. Nieporozumienia wokół interwencji były jednak raczej katalizatorem wyzwalającym tłumione co najmniej od zakończenia zimnej wojny napięcia. Katalog problemów we wzajemnych relacjach był już całkiem spory. Obejmował różnice zdań w sprawie programu tarczy antyrakietowej, protokołu z Kioto czy Międzynarodowego Trybunału Karnego. Nieufność budził amerykański program szerzenia demokracji, jak również sama potęga USA nazywanego „hipermocarstwem”. Punktem spornym okazała się „wojna z terroryzmem”, źle odebrano doktrynę „uderzenia wyprzedzającego”, zasadę „misji określającej koalicję” oraz pominięcie *NATO* w czasie operacji w Afganistanie. Krytycy wytykali USA brak entuzjazmu w stosunku do instytucji międzynarodowych (ONZ), jak również wykorzystywanie instytucji międzynarodowych do realizacji amerykańskich celów (Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy), negatywnie postrzegali interwencje humanitarne (Bośnia, Kosowo, Somalia), jak również ich zaniechanie (Sudan, Ruanda, Haiti). Kontrowersje budziły różnice w podejściu do kary śmierci i posiadania broni. Po obu stronach Atlantyku coraz częściej zaczęto postrzegać partnerów przez pryzmat popularnych stereotypów i uprzedzeń. I tak okazało się, że niedawni sojusznicy z czasów zimnej wojny to prymitywni kowboje wierzący jedynie w siłę pięści lub, z drugiej strony, gnuśne i tchórzliwe rządy korzystające z bezpieczeństwa zapewnianego im przez innych. W kilku miastach Europy Zachodniej miały miejsce wielotysięczne antyamerykańskie demonstracje, a dla ogromnej części opinii publicznej prezydent USA jawił się jako zagrożenie dla światowego bezpieczeństwa. Co więcej, niektórzy politycy w ważnych krajach europejskich nie zawahali się wykorzystać tych nastrojów i poświęcić strategiczne priorytety polityki zagranicznej na rzecz taktyki wyborczej na arenie wewnętrznej. Gdy emocje nieco opadły ruszyła lawina komentarzy, analiz i publikacji. Czy kryzys jest poważny czy przejściowy, porównywalny z tymi z przeszłości czy zupełnie wyjątkowy? Jakie są jego przyczyny i kto ponosi za niego

większą odpowiedzialność? Czy sojuszników z okresu zimnej wojny czeka teraz nieuchronna rywalizacja czy też w dalszym ciągu są skazani na partnerstwo? Odpowiedzi udzielano rozmaitych.

Celem niniejszego artykułu jest przyjrzenie się niedawnym napięciom w stosunkach transatlantyckich z perspektywy dwóch teorii stosunków międzynarodowych: klasycznego już (neo)realizmu oraz wyłaniającego się dopiero konstruktywizmu społecznego. Perspektywy teoretyczne często traktowane są z dystansem przez analityków rzeczywistości międzynarodowej. Tadeusz Kisielewski pisze we wstępie do swej książki:

„Analiza porównawcza realnych procesów i wydarzeń politycznych, z jednej strony, i rezultatów wysiłków teoretycznych – z drugiej strony, dowodzi, że teoria polityki, teoria stosunków międzynarodowych i teoria podejmowania decyzji politycznych są konstrukcjami w dużej mierze oderwanymi od realnych procesów politycznych. (...) Wszelkie tego typu teorie mogą co najwyżej zarysować jakiś pożądaną model idealny, którego jednak nie da się (co oczywiste) osiągnąć, ale nawet w niewielkim choćby stopniu doń zbliżyć. Wynika to z faktu, że polityka jest polem starcia obiektywnych interesów (na przykład narodów lub ponadnarodowych korporacji) postrzeganych subiektywnie przez grupy będące ich nosicielami; ponadto w grę wchodzi stale obecny element sentymentu lub resentymetu oraz czynnik stresu przy podejmowaniu decyzji w sytuacjach kryzysowych. Wreszcie, gdyby nawet udało się w jakimś stopniu zrationalizować proces podejmowania decyzji politycznych, wpływając na zmniejszenie subiektywizmu polityków (co wydaje się niewykonalne), to i tak pozostałaby jeszcze kwestia nieracjonalnych (to znaczy nieznajdujących rozsądnego uzasadnienia) motywów pchających niektóre podmioty polityki do wysuwania nierealnych postulatów. Z tych wszystkich przyczyn przydatność wyjaśniająca i aplikacyjna owych teorii i stworzonych przez nie modeli jest i pozostanie żadna”.¹

T. Kisielewski stawia jednak na równi teorie polityki, teorie stosunków międzynarodowych oraz teorie podejmowania decyzji politycznych, a co więcej nie czyni rozróżnienia między poszczególnymi konstruktami powstałymi w ich ramach. Można zgodzić się z jego krytyką nadmiernie scjentystycznych, zmatematyzowanych modeli, jak również z twierdzeniem, iż rozmaite teorie behawiorystyczne czy aplikacje teorii gier do dziedziny stosunków międzynarodowych grzeszą niekiedy nadmierną abstrakcyjnością. Tyle że dominowały one głównie w latach 60., podczas gdy np. klasyczny realizm czy konstruktywizm, do którego będę odwoływał się w tym artykule, bliskie są raczej tradycji postulowanej przez T. Kisielewskiego refleksji w dziedzinie stosunków międzynarodowych (bliskiej anglosaskiemu pojęciu *arts*) niż ścisłej wiedzy (*science*). Ponadto wizja badacza obiektywnie analizującego fakty jest co najmniej równie odległa od rzeczywistości, jak zmatematyzowane teoretyczne modele stosunków międzynarodowych. Analityk zawsze przyjmuje pewną perspektywę, interpretuje fakty, zakłada określoną wizję świata i w rzeczywistości stosunków między państwami, właściwości cechujących ich podmioty oraz relacji zachodzących między nimi. Dostrzec można to wyraźnie porównując wystąpienia ekspertów przed komisjami Kongresu i znamienne różnice,

¹ T. Kisielewski, *Imperium Americanum?*, Warszawa 2004, s. 12-13.

jakie rysują się w wypowiedziach badaczy, których można łączyć z nurtem instytucjonalnego liberalizmu oraz (neo)realizmu. Jeśli zrezygnuje się całkowicie z teorii, pozostanie nam tylko pisanie za pomocą postulowanych przez wiedeńskich neopozytywistów opisowych zdań bazowych. Tyle, że nie pozwalają one wyrazić być może najciekawszych rzeczy.

Stąd celem tego artykułu będzie przyjrzenie się temu, co o pozimnowojennych napięciach w stosunkach transatlantyckich powiedzieć mogą teorie (neo)realistyczne i konstruktywistyczne, czy w ich ramach prognozowano zaistniały rozwój sytuacji, czy są w stanie zaoferować nietrywialne wyjaśnienia i czy pozwalają na predykcje dotyczące przyszłości relacji transatlantyckich.

REALIZM I NEOREALIZM – PODSTAWOWE ZAŁOŻENIA

Paradygmat realistyczny i neorealistyczny są już teoriami klasycznymi, opisanymi w polskich podręcznikach stosunków międzynarodowych². Stąd nie ma tutaj potrzeby tak szerokiego prezentowania ich podstawowych założeń, jak w przypadku dużo mniej znanego paradygmatu społecznego konstruktywizmu.

W ujęciu (neo)realistycznym podstawowymi jednostkami analizy są państwa i składający się z nich system międzynarodowy. Pomijane są czynniki związane z polityką wewnętrzną, a państwa traktowane są jako spójne całości i jednorodni wewnętrznie aktorzy działający na arenie międzynarodowej. Składający się z poszczególnych państw system cechuje stan anarchii. „Anarchia” jest tu rozumiana w sposób nieco odbiegający od rozumienia potoczego, nie tyle jako chaos i nieporządek, co jako stan, w którym aktorzy zmuszeni są działać w środowisku pozbawionym suwerena, czyli władzy zwierzchniej. Państwa cechuje wtedy poleganie wyłącznie na sobie (*self-help*) i egoistyczne zabieganie o własne interesy (*self-regarding*). System jest konfliktogenny, charakteryzuje go niekończąca się gra o przewagę militarną i ekonomiczną, brak absolutnego bezpieczeństwa, stan niepewności i nieufności pomiędzy podmiotami. Klasyczni realiści podkreślają rolę dążenia do potęgi jako stałej cechy działania państw, uznając ją za pochodną uniwersalnej natury człowieka postrzeganego jako *animus domiandi*. Neorealiści czy też realiści strukturalni rezygnują z konkluzji na temat ludzkiej natury, przyczyn zachowania aktorów upatrując w strukturalnych cechach systemu związanych ze stanem powszechnej anarchii w stosunkach pomiędzy państwami. Główną przesłanką postępowania państw jest nie tyle dążenie do potęgi, co defensywna ostrożność, chęć przetrwania i zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Realisci dalecy są od absolutyzowania znaczenia międzynarodowych organizacji oraz praw i norm

² Patrz: S. Sałajczyk, *Teoretyczne wizje rzeczywistości międzynarodowej*, w: R. Kuźniar, E. Haliżak (red.), *Stosunki międzynarodowe: geneza, struktura, dynamika*, Warszawa 2000; E. Cziomer, L. Zyblikiewicz, *Zarys współczesnych stosunków międzynarodowych*, Warszawa 2005.

postępowania. Są one traktowane jako instrumenty polityki państw narodowych, wykorzystywane głównie wtedy, kiedy mogą służyć ich interesom. Jednocześnie wszelkie czynniki społeczne czy kulturowe uznawane są za irrelewantne lub drugorzędne wobec czynników materialnych (militarnych i ekonomicznych), a w najlepszym razie za maskujące politykę zabiegających o własne interesy państw³. Obok powszechnego stanu anarchii kluczowym zjawiskiem w funkcjonowaniu systemu międzynarodowego jest mechanizm „równowagi sił”, zgodnie z którym w sytuacji wzrostu potęgi jednego z państw pozostałe, z obawy przed zdominowaniem, formują koalicje równoważące wpływy najsilniejszego. Właśnie obawa przed trzecią stroną jest czynnikiem najczęściej skłaniającym państwa do współpracy, daleko istotniejszym niż abstrakcyjne normy, prawa czy fora międzynarodowe, jak również niż postrzegany tu w sposób merkantylistyczny handel.

REALIZM A STOSUNKI TRANSATLANTYCKIE

W perspektywie paradygmatu (neo)realistycznego kształt pozimowojennych stosunków transatlantyckich determinuje zniknięcie zagrożenia ze strony Związku Radzieckiego. Zagrożenie to stanowiło wcześniej kluczowy czynnik spajający i utrwalający partnerstwo transatlantyckie, będąc przyczyną zaangażowania USA na kontynencie europejskim i swoistego militarnego „parasola ochronnego”, jaki roztoczyły nad swymi sojusznikami, a z drugiej strony lojalnego zachowania partnerów europejskich. Zaniknięcie wspólnego zagrożenia sprawia jednak, że stosunkom transatlantyckim brakuje efektywnego spoiwa, a tym samym sojusznicy okresu zimnej wojny będą stopniowo oddalać się od siebie. Naturalną konsekwencją tego stanu rzeczy ma okazać się sytuacja, w której układ sił na kontynencie europejskim na powrót kształtuje się tak jak w latach 1648-1945, a więc z kilkoma głównymi, rywalizującymi i wchodzącymi ze sobą w zmienne aliansy mocarstwami dominującymi na kontynencie. Perspektywę (neo)realistyczną cechuje lekceważenie lub całkowite pomijanie procesów integracyjnych w Europie, jak również historycznych i kulturowych związków USA i Europy. Państwa postrzegane są zgodnie z głównymi założeniami paradygmatu (neo)realistycznego, z jego za-

³ „Różnice w polityce pomiędzy państwami lub między okresami historycznymi są w całości powodowane przez zmiany w czynnikach innych niż idee”. J. Goldstein, R. Keohane, *Ideas and Foreign Policy*, Ithaca 1993, s. 6. Cyt. za: A. Wendt, *Social Theory of International Politics*, Cambridge 1999, s. 93. „Anglia twierdziła, iż dźwiga brzemień białego człowieka, a Francja mówiła o swej *mission civilisatrice*. W tym samym duchu my [USA – przyp.aut.] twierdzimy iż działamy dla stworzenia i utrzymania światowego porządku. Dla dominujących krajów jest to całkiem łatwe do przewidzenia zachowanie”. K. Waltz, *Theory of International Politics*, Boston 1979, s. 200. Cyt. za: J. Ruggie, *What Makes the World Hang Together? Neo-utilitarianism and the Social Constructivist Challenge*, „International Organization” nr 52, 1998, s. 865.

kładanym stanem anarchii, ciągłą rywalizacją i egoizmem cechującym poszczególne kraje. W ramach tych założeń brakuje miejsca dla ponadnarodowej struktury Unii Europejskiej oraz dla „miękkich” czynników kulturowych⁴.

Koniec ziemnej wojny w świetle teorii (neo)realistycznych oznaczać więc musi stopniowy rozpad partnerstwa transatlantyckiego oraz wyłonienie się kilku regionalnych sił konkurujących ze sobą i pragnących politycznie zdominować kontynent europejski lub wręcz cały obszar Eurazji. Jednocześnie po upadku i zaniknięciu jednego z biegunów świata bipolarnego, przekształca się on w ład unipolarny, z główną rolą USA jako światowego hegemonu. Rzecznicy takich poglądów nie mają przy tym złudzeń co do faktu, iż układ unipolarny jest tylko „momentem” i w naturalny sposób wyłonią się nowe potęgi, rzucające wyzwanie supermocarstwu. W dłuższej perspektywie wysoce prawdopodobna jest więc transformacja ładu unipolarnego w potencjalnie dużo bardziej niestabilny ład multipolarny. Cechą myślenia (neo)realistycznego jest bowiem postrzeganie zimnowojennego układu bipolarnego jako potencjalnie najbezpieczniejszego z uwagi na większą stabilność, obliczalność i mniejszą ilość pól konfliktu między dwoma tylko potęgami. Stąd czas zimnej wojny jest przez nich często nazywany czasem długiego pokoju.

Niezależnie czy hegemon będzie hegemonem dobrotliwym czy też nie, naturalną cechą systemu jest nieuniknione wyłanianie się konkurencyjnych potęg. Christopher Layne w swoim artykule z 1993 r.⁵ wskazuje na Japonię i Niemcy jako głównych potencjalnych konkurentów USA, w dalszej kolejności wspomina o Rosji i Chinach. Czas pisania artykułu niewątpliwie miał wpływ na dobór wskazywanych państw⁶. W ciągu kilkunastu lat od powstania artykułu Layne’a gospodarki Japonii i Niemiec radziły sobie dużo gorzej niż miałyoby to wynikać z ekstrapolacji trendów dekady lat 80., tym samym czas częściowo zweryfikował wybór wskazywanych krajów. Adekwatna do rzeczywistości pozostawać może jednak charakterystyka samego procesu, opierającego się na podstawowej dla myślenia (neo)realistycznego zasadzie „balansu sił”. Na tle wojny w Iraku, wobec hegemonii USA, i pomimo historycznych i kulturowych transatlantyckich związków, powstała dość egzotyczna koalicja tandemu francusko-niemieckiego, Rosji i Chin, która otwarcie opowiedziała się przeciw zamierzeniom globalnego hegemonu, skutecznie blokując jego poczynania na polu organizacji międzynarodowych. Tandem francusko-niemiecki podjął przy tym nieudaną próbę politycznego zdominowania kontynentu europejskiego. Gdyby próba ta powiodła się i jednocześnie zdecydowanoby się na dalsze

⁴ Patrz: J. Mearsheimer, *Why we will soon miss the Cold War*, „The Atlantic”, August 1990.

⁵ Ch. Layne, *The Unipolar Illusion. Why New Great Powers Will Rise*, „International Security”, Spring 1993.

⁶ Pamiętajmy o strachu przed zdominowaniem USA przez Japonię na przełomie lat 80. i 90., który pozostaje śladem widocznym w wielu publikacjach z szerokiego zakresu tematyki społeczno-ekonomiczno-politycznej.

zacieśnianie związków z Rosją, możliwe stałoby się polityczne zdominowanie przez tę koalicję *heartlandu* Eurazji⁷.

Ch. Layne, opisując proces wyłaniania się konkurencyjnych potęg, dla empirycznego potwierdzenia swych tez analizuje sytuacje historyczne (koalicja wymierzona we Francję po 1660 r. i opierająca się Wielkiej Brytanii po 1860 r.). Wyróżnia dwie istotne cechy konieczne dla zaistnienia w systemie państw rzucających wyzwanie i mających ambicję „równoważenia” wpływów hegemonu. Te cechy to: wieloletni dynamiczny wzrost PKB poprzedzający i towarzyszący asertywnej polityce wyłaniającej się potęg oraz ich tendencja do „naśladowania”, przynoszącej sukces strategii hegemonu (centralizacja, biurokratyzacja i wzmocnienie administracji na wzór Francji Ludwika XIV, rozbudowa floty i walka o kolonie na wzór XIX-wiecznej Wielkiej Brytanii). Tutaj pojawia się istotna kwestia dla analizy postawy Francji i Niemiec z perspektywy założeń (neo)realistycznych. Otóż gospodarki tych państw pogrążone są w stagnacji, a jednocześnie próby wszelkich innowacji zmierzających do podjęcia „pościgu” za USA napotykać na bardzo silny opór społeczny, przed którym cofają się politycy. Nie zdołano wdrożyć Strategii Lizbońskiej, mogącej być wyrazem chęci rywalizacji z hegemonem. Model europejski ma swych zagorzałych zwolenników (jak Jeremy Rifkin czy Tony Judt), dowodzących jego prymatu nad rozwiązaniami amerykańskimi i stawiających go za wzór, który powinien być naśladowany za oceanem. Niemniej jednak fakt, iż Europejczycy pracują krócej, mają więcej płatnych urlopów, lepszą opiekę medyczną czy pomoc socjalną, bynajmniej nie przyczynia się do możliwości wskazywania Europy jako konkurencyjnej potęgi, przynajmniej na gruncie analizy (neo)realistycznej, nie zaś takiej, która wyróżniałaby „miękkie czynniki” kulturowe, czy poziom życia jako główny przedmiot konkurencji pomiędzy państwami. Specyfika sytuacji polega na tym, że wyzwanie hegemonowi miałyby rzucać dawniejsze mocarstwa, przez niego właśnie zastąpione w globalnym przewodnictwie. Wyłonienia się konkurenta dla dotychczasowego hegemonu można się więc spodziewać raczej w rejonie Azji niż Europy, co odpowiada zresztą powszechnym odczuciom.

Natomiast dla analizy stosunków transatlantyckich najważniejszy okazuje się fakt braku wystarczającej siły tandemu francusko-niemieckiego do utworzenia realnej przeciwwagi, nawet w sojuszu z Rosją, i do politycznego zjednoczenia kontynentu przeciw USA. Rzucenie wyzwania polegało głównie na słowach i gestach, ewentualnie gniewie pod adresem niechętnej inicjatywie tandemu „nowej

⁷ Żartobliwie komentował ten geopolityczny układ T. Garton Ash: „Tocząca się przez ostatnie kilka tygodni batalia dyplomatyczna francusko-niemiecko-rosyjskiego (i chińskiego) sojuszu kontynentalnego przeciwko amerykańsko-brytyjsko-hiszpańskiemu (i australijskiemu) sojuszowi morskiemu przypominała mi wojnę superbloków w *Roku 1984* George’a Orwella, który nazwał je Eurazją i Oceanią”. T. Garton Ash, *Za obłokiem burzy piaskowej*, „Gazeta Wyborcza” 21 III 2003.

Europy”⁸. Istotne znaczenie dla powstrzymania tych zapędów miał opór sporej grupy „starych” krajów europejskich pod przewodnictwem Wielkiej Brytanii (Hiszpania, Włochy, Holandia, Dania). John Hulseman, analityk *Heritage Foundation* bliski (neo)realistycznej perspektywie postrzegania stosunków międzynarodowych, co prawda nazwał tercet francusko-niemiecko-rosyjski „grupą Dorotki z *Czarnoksiężnika z Oz*”, w której każdemu czegoś brakuje do statusu potęgi, jednocześnie jednak zwraca uwagę, że partnerzy mogą tutaj stanowić względem siebie podmioty komplementarne:

„Podczas gdy z pewnością jest prawdą, że antywojenna koalicja Paryża, Berlina i Moskwy przypominała przyjaciół Dorotki z *Czarnoksiężnika z Oz* (każdemu z krajów brakowało czegoś do statusu samodzielnego mocarstwa – Rosji – rozwiniętej gospodarki, Niemcom – realnej siły militarnej, a Francji – bazy surowcowej i przemysłowej), to jest także prawdą, że taka koalicja traktowana łącznie miała wszelkie atrybuty ‘równoważące siły’, w której Francja wносиła polityczne i ideologiczne przywództwo, Niemcy – potęgę ekonomiczną, a Rosja – potencjał militarny”⁹.

Ch. Layne w swoim tekście doradza hegemonowi trzy reguły postępowania: unikanie prowokowania swym zachowaniem, minimalizowanie ryzyka konfrontacji oraz manipulowanie dynamiką świata multipolarnego. Kwestią dyskusyjną jest czy kreowany przez neokonserwatystów program działań administracji Busha na arenie międzynarodowej był zgodny z dwoma pierwszymi zasadami, jak również czy było to w ogóle możliwe, jeśli chciano przyjąć aktywny kurs w polityce międzynarodowej po 11 września 2001 r. Niemniej jednak francusko-niemiecki tandem w swym postępowaniu na arenie europejskiej również zdawał się nie przestrzegać tych wymogów, w czym tkwić może kolejna przyczyna fiaska jego poczynań. Wobec zdecydowanej i niekonsultowanej z innymi państwami postawy sprzeciwu wobec zamierzeń USA i samozwańczego występowania w imieniu całej Europy, kilka państw umocniło się w swym sceptycyzmie względem antyamerykańskich wystąpień, podejmując inicjatywę nazwaną potem „listem ośmiu”, będącą powodem tak wielkiej irytacji Paryża i Berlina. Drugą z przyczyn niepowodzenia, szczególnie jeśli chodzi o postawę krajów „nowej Europy”, było rozszerzenie osi o Moskwę i daleko posunięta fraternizacja z rosyjskim prezydentem. W sposób naturalny budziło to nieufność krajów wstępujących do Unii, zarówno z uwagi na kwestie historyczne, jak i neoimperialny charakter obecnych poczynań rosyjskich. To zaś prowadziło do sytuacji, w której USA mogły zrećnie odwoływać się do trzeciej reguły postępowania hegemonia – „wykorzystywania dynamiki świata multipolarnego”, a innymi słowy do rozgrywania mniejszych państw europejskich

⁸ „Kiedy Stany Zjednoczone napotykały sprzeciw wobec swojego unilateralizmu, wyrażają ubolewanie i robią swoje; kiedy z oporem spotkała się Francja, reakcją była histeria i inwektywy – broń bezsilnych. Na tym polega różnica między supermocarstwem a mocarstwem regionalnym”. T. Kisielewski, *op. cit.*, s. 226-227.

⁹ J. Hulsman, *Congressional Testimony*, 11 VI 2003.

przeciw większym. W perspektywie (neo)realistów kontynent europejski jest podzielony politycznie, przynajmniej na dwa obozy – gaullistowski i atlantycki, stanowiąc wdzięczny obszar do stosowania taktyki *cherry-picking*¹⁰ i otwierania pola dla komplementarnej wobec zjawiska „balansu sił” praktyki *bandwagoning*, w której słabsze państwa wykazują tendencje do przyłączania się do najsilniejszego. Takie „realistyczne” spojrzenie na integrujący się kontynent wciąż wydaje się być bliższe prawdy niż wizje np. Rifkina czy Judta, lub szerzej (neo)liberałów, którym Europa jawi się jako jednorodny organizm polityczny i podmiot decyzyjny.

W perspektywie (neo)realistycznej czynniki kulturowe i historyczne traktowane są jako wtórne, irrelewantne dla analiz, a w najlepszym razie jako drugorzędne. Tym łatwiej partnerstwo transatlantyckie postrzega się jako związane li tylko z okresem zimnowojennym, jako w naturalny sposób podatne na rozpad po zniknięciu spajającego sojusz militarnego zagrożenia. Badacze tego nurtu stoją często na stanowisku, że nie istniało ono przed 1945 r. i nie będzie istnieć po roku 1991. Przypominają też, że nawet w czasie zimnej wojny Francja de Gaulle’a – wobec rysującej się przewagi USA w wyścigu supermocarstw – dostrzegała konieczność zbliżenia z ZSRR¹¹.

Perspektywa (neo)realistyczna, oparta na dostrzeganiu powszechności „balansowania sił” i zmierzających do tego koalicji, jak również ewentualnie praktyce *bandwagoning*, była niekiedy krytykowana za zbyt wysoki poziom ogólności, który pozwala dostrzegać wspomniany mechanizm w każdym niemal zjawisku z dziedziny stosunków międzynarodowych. Wytykano analizie Ch. Layne’a, że wskazuje okres aż 50 lat, w czasie których USA mają napotkać wyzwanie ze strony sprzeciwiających się hegemonowi państw. Okazało się jednak, iż rzeczywisty bieg wydarzeń znacznie szybciej potwierdził prognozy (neo)realistów, bardzo sceptycznych jeśli chodzi o trwałość partnerstwa transatlantyckiego. Co prawda po zakończeniu wojny w Iraku przycichł towarzyszący jej gorący spór, a obie strony starały się studzić emocje. Wydaje się, że tłumacząc pewne uspokojenie w relacjach transatlantyckich, (neo)realiści stwierdziliby, iż wynika ono z faktu niemożności spełnienia przez francusko-niemiecki tandem dwóch wspomnianych warunków towarzyszących wyłanianiu się konkurencyjnych potęg (wzrost PKB i naśladowanie) oraz możliwości rozgrywania europejskich państw przeciw sobie. Nie podważa to jednak prognozy Ch. Layne’a piszącego, iż ład unipolarny pobudzi inne kraje do

¹⁰ J. Hulsman, *op. cit.*

¹¹ „Po kubańskim kryzysie raketowym polityka francuska determinowana była przekonaniem, że w rywalizacji amerykańsko-radzieckiej szala zbyt mocno przechyla się na korzyść USA. Prezydent de Gaulle twierdził, że USA stały się największą potęgą i będą teraz ‘automatycznie’ kierowały się chęcią poszerzenia swych wpływów i ‘wykorzystają swoją dominującą pozycję, innymi słowy, hegemonię względem innych’. Polityka de Gaulle’a zmierzała do zniwelowania tak postrzeganej nierównowagi. Według Edwarda Kołodzieja ‘w ostatnich latach rządów de Gaulle’a, prawdopodobny rozwój systemu unipolarnego stał się jednym z głównych źródeł niepokoju francuskiego rządu’”, Ch. Layne, *op. cit.*, s. 15.

„równoważenia siły” hegemonia i spowoduje wyłonienie się konkurencyjnych mocarstw¹²; postępujących zgodnie z tradycyjnymi wzorami rywalizacji wielkich potęg, a niezależnie od uwarunkowań związanych z czynnikami takimi jak ustrój wewnętrzny czy kultura polityczna poszczególnych krajów.

W perspektywie (neo)realistycznej teorii stosunków międzynarodowych eksplikacja stanu pozimnowojennych stosunków transatlantycznych i kryzysu wokół interwencji w Iraku opiera się na zniknięciu wspólnego czynnika zagrażającego i naturalnej chęci zrównoważenia dominacji jednego supermocarstwa. To, iż nie udaje się to do końca wynika m.in. z dynamiki systemu multipolarnego w ramach samej Europy. Szerszą analizę tej dynamiki przedstawił kilka lat po wystąpieniu Ch. Layne’a (i jednocześnie kilka lat przed kryzysem na tle interwencji w Iraku) Samuel Huntington¹³.

S. Huntington posługuje się głównie typowo realistyczną analizą stosunków sił, a osią rozumowania jest klasyczna teoria „balansu sił”. Poszerza ją jednak o wymiar kulturowy, zgodnie z duchem swego najbardziej znanego dzieła, a czynnik kulturowy jest tutaj dodatkowym i modulującym działaniem gry sił i interesów. Przewidując dążenia innych państw do zrównoważenia potęgi USA, zauważa iż, państwa postępowały zgodnie z tą regułą w powestfalskiej Europie, gdy wszyscy uczestnicy gry charakteryzowali się kulturową homogenicznością. W sytuacji, w której koalicja zmierzająca do zrównoważenia amerykańskiej hegemonii musiałaby być budowana z tak odległych kulturowo państw jak Francja, Niemcy, Rosja, Iran czy Chiny, prawdopodobieństwo jej pojawienia się jest mniejsze wobec większej skali trudności, jakie pociągałyby za sobą próby jej zmontowania. Obok próby łączenia klasycznej analizy z pozycji realistycznych z czynnikami kulturowymi, najciekawsza w tekście Huntingtona dla analizy stosunków transatlantycznych jest wizja trzystopniowego układu sił, jaki dostrzega on w pozimnowojennym świecie. Amerykański politolog twierdzi, iż współczesny ład międzynarodowy nie jest ani unipolarny, ani też multipolarny, nosi natomiast cechy obu tych porządków. System unipolarny charakteryzuje istnienie jednego supermocarstwa, brak znaczących innych mocarstw (mocarstw regionalnych, mocarstw drugiego stopnia) oraz wiele państw o mniejszych wpływach. Supermocarstwo może w efekcie samodzielnie rozwiązywać wszystkie trudne kwestie i żadna koalicja nie jest w stanie go powstrzymać. Sytuacja taka miała miejsce w czasach potęgi Rzymu oraz dominacji Chin we Wschodniej Azji. System multipolarny charakteryzuje się natomiast istnieniem kilku mocarstw o porównywalnej sile, kooperujących i rywalizujących ze sobą w zmiennych konfiguracjach. Funkcjonował w Europie od czasów pokoju

¹² Ch. Layne, *op. cit.*, s. 51.

¹³ S. Huntington, *The Lonely Superpower*, „Foreign Affairs”, March/April 1999. Przedruk tekstu pt. *Samotność szeryfa*, „Gazeta Wyborcza” 24-26 XII 1999. Zarysowaną tam koncepcję Huntingtona przytacza i rozwija (wprowadzając czwarty poziom państw małych) J. Czeputowicz w artykule *Europa atlantycka*, w: *Rocznik strategiczny 2003/2004*, s. 43-44.

westfalskiego lub przynajmniej od kongresu wiedeńskiego do II połowy XX w. Pozimnowojenny porządek jest natomiast – zdaniem Huntingtona – hybrydyczną wypadkową obu systemów, światem unimultipolarnym, w którym – co prawda – USA są jedynym supermocarstwem, istnieje jednak kilka innych mocarstw o mniejszej, ale istotnej na skalę regionalną potędze, których brak cechował system unipolarny.

„Takim jednym krajem, mającym przewagę we wszystkich dziedzinach: gospodarczej, wojskowej, dyplomatycznej, ideologicznej, technologicznej i kulturowej – i zdolnym bronić swych interesów w każdej części świata – są oczywiście Stany Zjednoczone. Na drugim poziomie znajdują się mocarstwa regionalne, dominujące w pewnych częściach świata, lecz nie mające dostatecznej siły, by rozszerzać strefy wpływów w takiej skali jak USA. Należą do nich: francusko-niemieckie kondominium w Europie, Rosja w Eurazji, Chiny i, potencjalnie, Japonia w Azji Wschodniej, Indie w Azji Południowej, Iran w Azji Południowo-Zachodniej, Brazylia w Ameryce Łacińskiej, RPA i Nigeria w Afryce. Poziom trzeci to państwa słabsze, o interesach nierzadko sprzecznych z interesami mocarstw regionalnych. Status takich drugorzędnych potęg mają: Wielka Brytania wobec połączonych sił Francji i Niemiec, Ukraina wobec Rosji, Japonia wobec Chin, Korea Południowa wobec Japonii, Pakistan wobec Indii, Arabia Saudyjska wobec Iranu i Argentyna wobec Brazylii”¹⁴.

Supermocarstwo, mimo swej niekwestionowanej przewagi nad pozostałymi państwami, nie jest jednak w tym systemie na tyle potężne, by przeprowadzać swe zamierzenia całkowicie niezależnie od innych aktorów (potęg regionalnych), a ich ewentualna koalicja jest w stanie rzucić wyzwanie supermocarstwu. Złożoność gry polega jednak na tym, iż globalny hegemon ma w sytuacji trzystopniowej relacji sił szerokie pole manewru, jego naturalnymi sojusznikami są bowiem „mocarstwa trzeciego stopnia”, czyli państwa słabsze od potęg regionalnych, a zarazem na tyle silne, iż mają ambicje i możliwości przeciwstawienia się ich wpływom, szczególnie przy wsparciu supermocarstwa. Powstaje więc trzystopniowy, globalny system równowagi sił, w którym koalicja mocarstw drugiej kategorii może próbować równoważyć wpływy hegemonu na arenie światowej, ich wpływy w regionach są jednak równoważone przez potęgi trzeciej kategorii wspierane przez supermocarstwo. Takim twierdzeniom teoretycznym zdają się odpowiadać rzeczywiste ruchy pionków na zarysowanej przez S. Huntingtona szachownicy. I tak USA utrzymują dobre stosunki z Egiptem i Arabią Saudyjską, równoważąc regionalne wpływy Iranu oraz z Pakistanem, równoważąc wpływy Indii (oraz Iranu), sojusze z Japonią i Koreą Południową tworzą zaś równowagę dla Chin i, w mniejszym stopniu, dalekowschodniej obecności Rosji. Wobec ciągłego wzrostu potęgi Chin oraz ich zbliżeniu z Rosją następuje jednak coś w rodzaju poszerzenia teatru działań, w której kontrbalans Japonii i Korei Południowej już nie wystarcza i następuje powolne zbliżenie z Indiami. Na arenie europejskiej natomiast „pomarańczowa rewolucja” na Ukrainie spotyka się z milczeniem i skrywaną niechęcią ze strony

¹⁴ Tamże.

Paryża i Berlina, z uwagi na solidarność mocarstw drugiej kategorii z Moskwą. Do Kijowa jedzie wprawdzie Javier Solana jako specjalny wysłannik UE (po usilnych namowach ze strony prezydenta Polski), ale być może istotniejsze dla biegu wydarzeń było mało spektakularne i zakulisowe działanie USA¹⁵. Wreszcie najważniejsze dla tych rozważań stosunki transatlantyckie i wewnątrz europejskie. Proces integracji europejskiej jest często postrzegany z perspektywy realizmu jako dążenie najpierw Francji, a następnie tandemu francusko-niemieckiego do politycznego zdominowania kontynentu, pociągającego za sobą m.in. rozluźnienie więzi transatlantyckich¹⁶. „Równoważnikiem” była tutaj Wielka Brytania, utrzymująca tradycyjnie dystans do kontynentu i „specjalne stosunki” z mocarstwem zza Atlantyku. Obecnie jej naturalnymi sprzymierzeńcami (szczególnie wobec perspektywy zbliżenia mocarstw regionalnych i prawdopodobnego, przynajmniej do jesieni 2005 r., zarysu koalicji Francji, Niemiec i Rosji) są państwa „nowej Europy”, z których Polska jest największym i potencjalnie najbardziej znaczącym. Jej rola jest tym bardziej istotna, że z racji położenia geopolitycznego, może odgrywać rolę czynnika równoważącego wpływy mocarstw regionalnych i kooperującego z supermocarstwem, zarówno w UE (razem z Wielką Brytanią wobec Francji i Niemiec¹⁷), jaki i w Europie Wschodniej (z Ukrainą¹⁸ wobec Rosji).

Istotne jest to, iż w perspektywie (neo)realistycznej przedstawionej przez S. Huntingtona kilka lat przed wybuchem ostrego kryzysu w stosunkach transatlantyckich, późniejsze zachowanie partnerów w czasie tegoż kryzysu wydaje się mało

¹⁵ „Najostrzejsi byli Amerykanie. Zakomunikowali prezydentowi, premierowi i wszystkim szefom struktur siłowych, że tych, którzy przeleją krew w Kijowie, USA zaczynają traktować jak podejrzanych o popełnienie zbrodni przeciwko ludzkości z wszystkimi tego konsekwencjami. A więc ich konta za granicą mogą zostać zamrożone, a ich samych rząd USA będzie ścigał jak przestępców”. M. Bosacki, M. Wojciechowski, *Zakulisowa historia rewolucji*, „Gazeta Wyborcza” 2-3 IV 2005.

¹⁶ „Wraz z rozszerzeniem UE na Wschód, stanie się ona dominującą siłą geopolityczną Eurazji, stopniowo zastępującą USA w roli przywódcy strategicznego, globalnego 'heartlandu'.” Ch. Kapuchan, *The End of the West*, „Atlantic Monthly”, November 2002. „Francja posiada geostrategiczną wizję 'europejskiej Europy', mogącej być przeciwważą dla amerykańskiej potęgi. Ujmując rzecz metaforycznie: Francja chętnie stworzyłaby sytuację, w której Niemcy są koniem, reszta Europy dorożką, a Francją woźnicą kierujących jedymi i drugimi”. R. Sikorski, *Congressional Testimony*, 17 VI 2003. „Problem interwencji w Iraku był dla krajów europejskich tak naprawdę sporem wokół dwóch podstawowych kwestii: nastawienia do pozimnowojennej potęgi USA oraz gry o dominację wewnątrz wspólnych instytucji europejskich”. J. Hulsman, *Congressional Testimony*, 16 II 2005. „Francja wykorzystwała kwestię iracką jako okazję do ponownego wypróbowania i potwierdzenia gaullistowskiej ambicji kształtowania polityki zagranicznej UE”. B. Croci, *A Closer Look at the Changing Transatlantic Relationship*, „European Foreign Affairs Review” nr 8, 2003, s. 474.

¹⁷ Jeżeli Niemcy kontynuowałyby politykę koalicji SPD/Zieloni, polegającą na zbliżeniu z Francją i Rosją oraz otwartym przeciwstawianiu się USA, porzucając tym samym kilkudziesięcioletnią rolę lojalnego sojusznika USA.

¹⁸ A także państwami bałtyckimi i współpracującymi w *GUAM*. W tym kontekście interesujące jest wystąpienie Z. Brzezińskiego przytaczane przez A. Nowaka w artykule *Polskie doświadczenia z imperializmem i ich współczesne echa*, w: *Polska-Niemcy. Tożsamości i kryteria w stosunkach transatlantyckich*, red. S. Dębski, T. Jaskulowski, Warszawa 2005, s. 62-66.

zaskakujące i całkowicie logiczne. Każdy postępował tutaj zgodnie z zarysowanymi powyżej własnymi interesami. Tandem francusko-niemiecki przeciwstawiał się supermocarstwu, dążąc do zdominowania i podporządkowania sobie innych państw europejskich, pozostając w tej kwestii w naturalnym sojuszu z innym mocarstwem drugiej kategorii – Rosją. Mniejsze państwa europejskie i Wielka Brytania, przeciwstawiając się z kolei francusko-niemieckiej dominacji, zdecydowanie opowiedziały się jednak po stronie supermocarstwa, wywołując gniewne reakcje potęg kontynentalnych. Tym samym nie powiodła się jak dotąd najbardziej śmiała próba przeciwstawienia kontynentu euroazjatyckiego USA i wobec jej fiaska nie wiadomo kiedy i czy w ogóle będzie podjęta następna. W (neo)realistycznej perspektywie rolę wewnątrz Europy grały jedynie chłodne kalkulacje sił i interesów, a wszelkie debaty o legalności bądź nielegalności interwencji, pacyfistyczne nawoływania, kłótnie o solidarność europejską (wraz z epitetami „osłów trojańskich”) lub solidarność świata Zachodu były jedynie mało w sumie istotną grą pozorów maskującą działanie realnych sił.

S. Huntington zaleca jednemu supermocarstwu w unimultipolarnym świecie „bismarckowską zręczność”. Wydaje się, że znalazła ona wyraz w świadomym dzieleniu Europy na „starą” i „nową” oraz politycznemu wsparciu udzielanemu tej drugiej, inaczej mówiąc strategii *cherry-picking*, którą tak bardzo chwalił w czasie zeznań przed komisją Kongresu John Hulsman¹⁹. Jednocześnie jednak wydarzenia wokół wojny w Iraku stawiają pod znakiem zapytania konkuzje tekstu Huntingtona. Zaleca on bowiem wycofanie się USA z globalnych obowiązków i pozostawienie regionalnej dominacji mocarstwom drugiej kategorii, co z jednej strony ulżyłoby strudzonemu hegemonowi, a z drugiej nie antagonizowało potęg regionalnych. Wydaje się jednak, że w takiej sytuacji mogłyby one nader łatwo zdobyć nieograniczone wpływy w swoich rejonach świata, co raczej zachęciłoby je, zamiast odwieść, od pokusy rzucenia wyzwania globalnej hegemonii Waszyngtonu. USA, które całkowicie wycofają się z Europy, nie mogą wykluczyć, iż w przyszłości nie ujrzą zwróconego przeciwko sobie globalnego euroazjatyckiego *Heartland* pod przewodnictwem Paryża, Berlina i Moskwy. Pozostaje mieć nadzieję, że po wewnętrznych zmianach w Niemczech w 2005 r. i spodziewanych we Francji w 2007 r., w obu europejskich stolicach zapanuje większy dystans do pomysłu rozluźniania transatlantyckich więzi oraz nieco większa ostrożność w zacieśnianiu stosunków z Moskwą, a Niemcy jako kluczowe państwo europejskie będą starały się powrócić do tradycyjnej roli lojalnego sojusznika USA.

„Interakcja między siłą a kulturą ma szczególne znaczenie dla stosunków europejsko-amerykańskich. Dynamika gry sił skłania tu do rywalizacji, natomiast wspólna kultura ułatwia współpracę. Osiągnięcie przez Amerykę jakiegokolwiek ważnego celu zależy od tego, czy ta druga tendencja przeważa. Stosunki z Europą są kluczowe dla sukcesu polityki międzynarodowej USA, a jeśli

¹⁹ J. Hulsman, *op. cit.*

uwzględniać proamerykańską postawę Wlk. Brytanii i antyamerykańską postawę Francji, to kluczowe dla stosunków USA z Europą okazują się ich stosunki z Niemcami. Zdrowa współpraca z Europą to najlepszy lek na amerykańską supermocarstwową samotność²⁰.

KONSTRUKTYWIZM SPOŁECZNY – PODSTAWOWE ZAŁOŻENIA

Na przełomie lat 80. i 90. zaczęła wyłaniać się kolejna perspektywa teoretyczna – nazwana społecznym konstrukttywizmem²¹, którą zaczęto uznawać za trzeci główny nurt teorii stosunków międzynarodowych, obok dominujących dotychczas (neo)realizmu oraz liberalnego instytucjonalizmu. Konstruktyniści dzielą się przy tym na co najmniej dwa główne nurty. Pierwszy z nich nazywany krytycznym, radykalnym lub „postmodernistycznym”, osadzony jest w tradycji neomarksistowskiej „teorii krytycznej”. Jego przedstawiciele najczęściej stwiają sobie za cel demaskowanie ukrytych i dyscyplinujących struktur władzy dyskursywnej. Świat jawi się im jako uniwersum tychże dyskursów kształtowanych przez potężne i uprzywilejowane grupy. Nurtowi temu patronują trzej „mistrzowie podejrzliwości” – Marks, Nietzsche i Freud oraz ich późniejsi poststrukturalistyczni kontynuatorzy na czele z M. Foucaultem i J. Derridą²².

Więcej zdaje się obiecywać nurt umiarkowany, nazywany też „modernistycznym” lub neoklasycznym, którego wybitnymi przedstawicielami są John Ruggie oraz Alexander Wendt. Tylko on będzie przedmiotem mojej uwagi w toku dalszych wywodów. Konstruktyniści umiarkowani, szukając szerszych podstaw filozoficznych dla swojego stanowiska, odwołują się do amerykańskich neopragmatystów, meadowskiego interakcjonizmu i do filozofii Johna Searla, a niekiedy także do M. Durheima i J. Webera. Dystansują się od indywidualizmu metodologicznego, filozoficznego materializmu oraz bagażu zaczerpniętych z ekonomii teorii racjonalnego wyboru. Postulują holizm i idealizm, a obok wyjaśnień przyczynowo-skutkowych widzą też znaczenie funkcjonalno-genetycznych.

Konstruktyniści postulują decydującą rolę szeroko pojmowanych czynników kulturowych i świadomościowych – norm, wartości, idei, przekonań uznawanych za

²⁰ S. Huntington, *op. cit.*

²¹ N. Onuf, *World of Our Making*, Columbia 1989; Y. Lapid, F. Kratochwil (eds.), *The Return of Culture and Identity in IR Theory*, Boulder 1996; P. Katzenstein (ed.), *The Culture of National Security*, New York 1996; V. Kubalkova, N. Onuf, P. Kowert, *International Relations in a Constructed World*, New York 1998; J. G. Ruggie, *Constructing the World Polity*, London 1998; A. Wendt, *Social Theory of International Politics*, Cambridge 1999.

²² Przedstawiciele tego nurtu twierdzą np. że kubański kryzys rakietowy był sztucznie spowodowany przez USA w celu wywołania poczucia zagrożenia i umocnienia tożsamości przywódcy „wolnego świata”. Patrz: J. Weldes, *Constructing National Identity: The United States and the Cuban Missile Crisis*, Minneapolis 1996. Kryzys ten jest zresztą dla konstruktynistów krytycznych szczególnie inspirujący, analizują bowiem również politykę USA w regionie Morza Karaibskiego i Ameryki Środkowej jako obsesyjne próby odzyskania „siły fallicznej” utraconej jakoby w czasie kryzysu kubańskiego. Patrz: C. Weber, *Faking It: U.S. Hegemony in a „Post-Phallic” Era*, Minneapolis 1999.

nieistotne przez przedstawicieli dominujących dotąd paradygmatów. Nie negują przy tym znaczenia czynników materialnych, zakładają jednak uprzedniość zmiennych kulturowych i świadomościowych. Według niektórych konstruktivism nie jest jednak teorią polityki, a teorią społeczną aplikowaną do rzeczywistości stosunków międzynarodowych²³. Konstruktynści społeczni twierdzą, iż ludzkie interakcje są kształtowane przede wszystkim przez czynniki kulturowe i świadomościowe, a nie materialne. Najważniejsze z tych czynników są powszechnie podzielane lub „intersubiektywne” i nie są redukowalne do jednostek. Owe powszechnie podzielane przekonania kształtują tożsamości i interesy działających aktorów. Rzeczywistości nie postrzegają najczęściej jako danej obiektywnie, lecz jako społecznie konstruowaną w toku interakcji²⁴. Przekonania te, odnoszące się do natury życia społecznego, przenosi się następnie na teren teorii stosunków międzynarodowych. W odniesieniu do państw pociąga to za sobą swego rodzaju antropomorfizację – są one postrzegane jako działający intencjonalnie aktorzy zbiorowi. Nie jest to jednak widzenie podzielane przez wszystkich przedstawicieli nurtu, istnieje bowiem problem poziomu analizy. Dla jednych konstruktynstyczna refleksja w dziedzinie stosunków międzynarodowych winna rozpoczynać się na poziomie państw jako aktorów, dla innych konieczne jest otwarcie „czarnej skrzynki” państwa i przyjrzenie się wewnętrznej rywalizacji poszczególnych grup interesu oraz ich wpływu na zachowanie danego organizmu państwowego na arenie międzynarodowej²⁵.

Być może najciekawszym wkładem przedstawicieli tego nurtu do refleksji nad rzeczywistością międzynarodową jest sprobrematyzowanie kategorii (obiektywnego) interesu narodowego i racji stanu. Dla konstruktynstów o tym „czego chcę?” przesądza „kim jestem?” (lub „kim myślę, że jestem”). Nie negując tradycyjnie pojmowanych interesów, kluczowych dla zachowania państw w perspektywie (neo)realizmu i liberalnego instytucjonalizmu, zakładają uprzedniość tożsamości względem interesów. Stąd kategoria tożsamości (w tym momencie państwa) staje się dla konstruktynstów kluczowa²⁶. Aleksander Wendt rozróżnia cztery rodzaje tożsamości w odniesieniu do państw: tożsamość korporacyjną, tożsamość typu, tożsamość roli i tożsamość zbiorową. Tożsamość korporacyjna jest podstawową i umożliwia identyfikowanie państwa jako ponadjednostkowego, intencjonalnego

²³ M. Finnemore, K. Sikkink, *Taking Stock: The Constructivist Research Program in International Relations and Comparative Politics*, „Annual Review of Political Science”, April 2001.

²⁴ Np. zadrukowany kawałek papieru będący banknotem dziesięciozłotowym pozwala na zakup określonych rzeczy dzięki wartości przypisywanej mu społecznie, a nie dzięki jakimś swoim immanentnym cechom. Innymi słowy byty takie jak: „pieniądze”, „prawa” czy „suwerenność” istnieją dlatego, że ludzie wierzą, iż istnieją i działają zgodnie z tym przekonaniem.

²⁵ A. Antoniadou, *Epistemic Communities, Epistemes and the Construction of (World) Politics*, „Global Society”, January 2003 oraz T. Hopf, *The Promise of Constructivism in International Relations Theory*, „International Security”, Summer 1998.

²⁶ Szerzej pisałem o tym w: M. Adamczak, *Kategoria tożsamości w perspektywie konstruktynstycznego społecznego*, w: M. Gołka (red.), *Kłopoty z tożsamością*, „Człowiek i Społeczeństwo”, tom XXVI, Poznań 2006.

aktora zbiorowego z uwzględnieniem granicy i populacji. Tożsamość zbiorowa odnosi się do tejże populacji i umożliwia identyfikację z państwem jako aktorem korporacyjnym oraz poczucie „grupowego Ja”. Tożsamość typu określa dystyngtywne cechy charakteryzujące państwa i dzieli je na odrębne grupy na podstawie wewnętrznych cech ustrojowych. Tożsamość roli jest natomiast oparta na interakcjach ze światem zewnętrznym i na opozycji Ja/Inny będąc typem tożsamości całkowicie relacyjnym. Role bowiem są zawsze przybierane w stosunku do Innego i to percepcje Innego warunkują określoną tożsamość roli (np. do statusu regionalnego lidera nie wystarczy samopostrzeganie, konieczne jest odpowiednie postrzeganie przez pozostałych aktorów). Wendt wyróżnia tutaj dwa uzupełniające się mechanizmy *role-taking* (przybieranie roli) i *casting* (obsadzanie w roli) oraz towarzyszące im zjawisko „definiowania sytuacji”. Przybieranie roli opiera się na wybraniu pewnych samo-identyfikacji i samo-reprezentacji z puli dostępnych. Z jednej strony aktor posiada tutaj wolność wyboru, z drugiej jest on jednak często ograniczony przez swój potencjał i otaczających go aktorów, stąd nie jest to wielki wybór. Przybierając określoną rolę aktor jednocześnie obsadza Innego w odmiennej, relacyjnej w stosunku do własnej, roli. Nie można bowiem być zdobywcą bez podbijanych, krzewicielem wiary bez niewiernych, cywilizowanym mocarstwem bez barbarzyńców. Na mocy takiej identyfikacji i reprezentacji oraz ich kontr-identyfikacji i kontr-reprezentacji dokonuje się „definiowanie sytuacji”, w jakiej według swoich wyobrażeń ma działać aktor korporacyjny. Teatralna czy też filmowa sytuacja „przybierania roli” i „obsadzania w roli” nie musi być oczywiście harmonijna, przybierając raczej postać dyskursywnych zmagania. „Obsadzanie” Innego odbywa się przecież na mocy decyzji Ja, niekoniecznie biorącego tutaj pod uwagę samo-identyfikację Innego. „Reżyserskie” zapędy napotykać mogą na opór i rodzić sytuację dyskursywnej walki, przy czym na siłę dyskursu wpływać też mogą niebagatelnie czynniki materialne. Istotne jest, iż przez takie „obsadzanie” w pewien sposób kształtuje się jednak tożsamość Innego, szczególnie jeżeli podmiot „obsadzający” dysponuje przewagą siły dyskursywnej, ekonomicznej lub militarnej. Przekonania co do Innego nie są tylko biernymi percepcjami, lecz również konstruowaniem go. „Poprzez praktyki reprezentacji Ja mówi do Innego: „ty jesteś X (kupcem, neofita, podbitym), ja spodziewam się, iż będziesz zachowywał się jak X i ja będę postępował w stosunku do ciebie, tak jak gdybyś był X”. Do pewnego stopnia, to kim jest Inny zależy poprzez taką interakcję, od tego, co Ja myślę o tym, kim jest Inny”²⁷. W tej sytuacji każda ze stron, której przychodzi wchodzić w interakcję, dąży do tego, by sytuacja była definiowana w świetle jej przekonań i widziana zgodnie z jej percepcją. Istotna może być tu sama siła dyskursywna i retoryczne umiejętności posługiwania się treściami symbolicznymi, kulturowymi czy historycznymi. Materialna potęga odgrywa jednak niepoślednią rolę w nakłanianiu innych do postrzegania spraw w tej a nie innej perspektywie. Rzecz

²⁷ A. Wendt, *op. cit.*, s. 335.

zmienną jest przy tym to, jaki rodzaj materialnych czynników (ekonomiczny czy militarny) aktualnie okazuje się najskuteczniejszy. Materialna potęga przesądza o możliwości karania i nagradzania poszczególnych działań innych aktorów, a co za tym idzie oddziaływanie na ich tożsamości poprzez narzucanie definicji sytuacji oraz samo-identyfikacji zbieżnych z percepcją potężniejszego aktora. Potężniejsi aktorzy socjalizują więc i w swoisty sposób „uczają” słabszych. W tym świetle potęgę (jak również pełną suwerenność i niezależność) można definiować za Karlem Deutschem jako „zdolność do podołania nie uczeniu się”²⁸.

A. Wendt mocno podkreśla znaczenie struktury systemu międzynarodowego, będąc tu bliskim podejściu Waltza i neorealistów. Stąd konstytutywne dla tożsamości aktora korporacyjnego pozostaje oddziaływanie całego systemu międzynarodowego. A. Wendt wyróżnia trzy możliwe „kultury anarchii”, czyli trzy zespoły akceptowanych norm i reguł postępowania aktorów w sytuacji braku suwerena, oparte na trzech głównych rolach tożsamościowych dominujących w systemie. Wyodrębnia „kulturę Hobbesa” (z dominującą tożsamościową rolą „wroga”), „kulturę Locke’a” (z dominującą rolą tożsamościową „rywala”) oraz „kulturę Kanta” (z symetrycznie im odpowiadającą rolą „przyjaciela”).

W podejściu konstruktywistycznym znaleźć można kilku słabych punktów. Problemy, z jakimi borykają się jego przedstawiciele to przede wszystkim kwestia poziomu analizy, czyli innymi słowy otwarcia „czarnej skrzynki” państwa. Teoria A. Wendta, piszącego o mechanizmach *role-taking* i *casting* oraz „trzech kulturach anarchii”, świadomie ogranicza się do poziomu państw jako aktorów korporacyjnych. Zyskuje tym samym klarowność, wielu jednak postrzegać będzie ją jako nadmiernie ogólną i abstrakcyjną. Trudno nie zauważyć, że wewnątrz poszczególnych państw rozgrywają się batalie pomiędzy grupami epistemicznymi – grupami wpływu, aktywistami, mediami, *think-tankami*, które przybierają postać dyskursywnych zmaganiań. Taki wybór rodzi jednak problemy metodologiczne (ogarnięcie i klasyfikacja ogromnej ilości materiału), a także poważnie narusza elegancki gmach teorii Wendta. Problem poziomu analizy dotyczy zresztą i innych podejść teoretycznych, a państwowocentryczny charakter konstruktywizm A. Wendta dzieli z neorealizmem K. Waltza. Drugą kwestią jest status państwa jako ponadjednostkowego aktora korporacyjnego obdarzonego intencjonalnością kolektywną a także obawy krytyków, iż jest to naiwna antropomorfizacja. Wreszcie, jeżeli chodzi o przyjmowane schematy wyjaśnień, to konstruktywiści często wolą ujmować je w ramy narracji niż ścisłych związków przyczynowo-skutkowych, a co więcej niechętnie prognozują przyszłe stany rzeczy, zadowalając się najczęściej wyjaśnianiem zjawisk przeszłych. Tymczasem identyfikacja ścisłych związków przyczynowo-skutkowych oraz antycypacja wydarzeń i procesów uchodzą często za podstawowe wyróżniki nauki.

²⁸ Tamże, s. 331.

Mając świadomość tych wszystkich trudności przyjrzyjmy się jednak temu, co korzystając z narzędzi społecznego konstruktywizmu, można powiedzieć o pozimnowojennych napięciach w stosunkach transatlantyckich.

KONSTRUKTYWIZM A STOSUNKI TRANSATLANTYCKIE

W perspektywie konstruktywistycznej kluczowe dla obserwowanego w ostatnich latach kryzysu w stosunków transatlantyckich pozostają trzy kwestie: pojęcie Zachodu, próby tworzenia wspólnej tożsamości europejskiej oraz coraz bardziej odmienne postrzeganie rzeczywistości międzynarodowej po obu stronach Atlantyku.

Pojęcie jednej cywilizacji Zachodu staje się coraz bardziej problematyczne. Być może, jak wskazuje jeden z komentatorów²⁹, w czasie zimnej wojny mieliśmy do czynienia z jednym Zachodem i dwoma Europami, po jej zakończeniu natomiast wyłaniają się dwa Zachody i jedna Europa. W latach zimnowojennych również nie brakowało transatlantyckich kryzysów, by wspomnieć tylko Suez w 1956 r., francuski „pusty fotel” w 1966 r., niemiecką *Ostpolitik* czy kontrowersje wokół rozmieszczenia rakiet *Pershing* i pocisków *Cruise* na początku lat 80. Wydaje się, że mimo to ciągle istniała wówczas pewna wspólna tożsamość, samodefiniowanie się jako „wolny świat” (wyrażenie, które niemal całkowicie zaniknęło) w obliczu zagrożenia sowieckiego. Pamiętamy hasło „wszyscy jesteśmy berlińczykami” (późniejsze „wszyscy jesteśmy nowojorczykami” zostało szybko negatywnie zwerfifikowane). W USA władzę sprawowali politycy zaangażowani w sprawy Europy, mający żywo w pamięci II wojnę światową. Istniało poczucie odpowiedzialności za losy Starego Kontynentu jako bliskiego i cennego sojusznika (nie tylko ze względu na jego znaczenie strategiczne), przejawiające się w militarnej ochronie i ekonomicznym wsparciu. Obecnie bardzo trudno byłoby znaleźć owo cechujące miniony okres poczucie jedności i wspólną tożsamość zbiorową. Polityka gaullistowska zawsze zakładała pewien dystans w stosunku do USA i upatrywała w zbliżeniu z Rosją szansy na częściowe równoważenie wpływów zza Atlantyku, jednak wobec tradycyjnie zupełnie odmiennej postawy Wlk. Brytanii kluczową dla relacji transatlantyckich była rola Niemiec, do niedawna niezwykle lojalnego europejskiego sojusznika. Zdecydowana zmiana priorytetów w polityce zagranicznej dokonana przez rząd koalicji *SPD/Zieloni* z pewnością przyczyniła się do turbulencji w stosunkach transatlantyckich. Tyle, że taka analiza stosunku sił, skupiająca się na decyzjach przywódców państw, pomija niezwykle istotny czynnik, mianowicie to, jak powszechny i popularny stał się w krajach Europy Zachodniej antyamerykanizm. Jest stałym i silnym głosem ciągle obecnym w debacie publicznej, poglądem

²⁹ D. Moisi, *Czy Zachód istnieje?*, „Gazeta Wyborcza” 27-28 XII 2003.

jednakowo rozpowszechnionym wśród elit intelektualnych i społeczeństwa. Brak niechęci w stosunku do USA, szczególnie pośród wspomnianych elit, staje się czymś, z czego należy się tłumaczyć. Po atakach 11 września trudno było oprzeć się wrażeniu, że w ledwo skrywanej satysfakcji ich część ustępuje tylko arabskiej ulicy³⁰. Według sondaży we Francji 33% badanych nie życzyło zwycięstwa koalicji pod przywództwem USA, a 82% uznawało G. Busha za zagrożenie dla światowego pokoju. Przeciwna interwencji była także zdecydowana większość społeczeństw tych krajów europejskich, których rządy wsparły USA (we Włoszech ponad 80%, w Hiszpanii ponad 90%)³¹. Tak silnych tendencji w opinii publicznej politycy nie mogą w warunkach demokratycznych lekceważyć, a pokusa wykorzystania ich w zmaganiach o głosy na arenie wewnętrznej okazuje się (Niemcy w 2002 r., Hiszpania w 2004 r.) i może okazywać się w przyszłości zbyt nęcąca, by jej się oprzeć. Obecny w Europie Zachodniej antyamerykanizm pozostaje wciąż jeszcze nieco wstydliwie ukrywany. Próbuje się przedstawiać go jako niechęć do prezydenta Busha lub neokonserwatystów, czy też do unilateralnych działań, nie zaś USA jako takich³². Wydaje się to nie do końca odpowiadać prawdzie. Obawy przed amerykanizacją czy też „hipermocarstwem” formułowane były już w trakcie kadencji „honorowego Europejczyka” Billa Clintona, prowadzącego raczej ostrożną politykę zagraniczną i z pewnością nie będącego zwolennikiem rozwiązań unilateralnych. Już pierwszej podróży zagranicznej nowo wybranego prezydenta Busha do Europy Zachodniej towarzyszyły masowe demonstracje przeciwników i kpiny w prasie. Niezależnie od tego, kto aktualnie zasiada w Białym Domu, a nawet od tego, jaką politykę prowadzi (USA bywa krytykowane zarówno za podejmowanie interwencji humanitarnych, jak i za ich zaniechanie), antyamerykańskie resentymenty są w Europie bardzo silne. Szczególnie mocno zakorzenione są wśród środowisk lewicowych, będąc pozostałością czasów zimnowojennych, wzmocnioną współczesnym postrzeganiem USA jako bastionu wolnego rynku i propagatora globalizacji. To, iż w wielu krajach europejskich elity polityczne i medialne składają się w dużej mierze z przedstawicieli szeroko pojętego „pokolenia '68”,

³⁰ „Chwilami można odnieść wrażenie, że problemem są nie terroryści, ale władze amerykańskie”. „Oni” (czyli Bush i cały system) zamierzają wykorzystać kryzys jako pretekst do podeptania naszych praw obywatelskich – na przykład zdaniem Terry’ego Eagletona z „London Review of Books” USA już teraz są „państwem o ustroju monopartyjnym”. A jeśli chodzi o koszmar 11 września, niektórzy nie mogą oprzeć się wrażeniu, że – by zacytować historyka Mary Beard – „jakkolwiek taktownie by to ująć, USA zapracowały na to”. Profesor Thomas Laqueur z Berkeley pisze, iż „na tle światowych standardów zła eksplozje w Nowym Jorku, niestety, nie są niczym wyjątkowym, a nasze władze ponoszą odpowiedzialność za wiele innych, prawdopodobnie gorszych katastrof”. Frederic Jameson z Uniwersytetu Duke twierdzi, że „Amerykanie stworzyli ben Ladeną podczas zimnej wojny (...). Mamy tu więc podęcznikowy przykład dialektycznego odwrócenia”. T. Judt, *Czy Ameryka da się lubić?*, 17-18 XI 2001.

³¹ Podaję za: *In search of repairs*, „The Economist” 5 II 2005 oraz T. Kisielewski, *op. cit.*, s. 239.

³² T. Garton Ash, *Anti-Europeanism in America*, „New York Review of Books” 13 February 2003. J. Vaisse, *Congressional Testimony*, 17 VI 2003.

sprawującego obecnie „rząd dusz” w Europie Zachodniej, daje tej perspektywie szansę mocnej artykulacji oraz bezpośredniego wpływu na czynniki rządowe. Często antyamerykanizm nieobcy jest również środowiskom pravicowym i konserwatywnym (tu z kolei obwinia się USA za materializm i nadmierny liberalizm w sferze kulturowej)³³.

Antyamerykańskie tendencje mogą jeszcze zostać wzmocnione w czasie procesu dalszego jednoczenia się Europy. Pozmimnowojenna i jednocząca się Europa (podobnie jak współczesna Rosja) przeżywa bowiem wyraźne kłopoty tożsamościowe i ma trudności z określeniem swojej roli na arenie międzynarodowej. W procesie konstruowania własnej tożsamości zawsze niezbędny okazuje się „Inny”, „Obcy”, w opozycji do którego określa się podmiot. USA również konstruowały w XVIII w. swoją tożsamość w opozycji do „Innego” – Starego Kontynentu i kojarzonych z nim praktyk imperialnych: wojny, ekspansji i podboju. G. Washington w *Farewell Address* pytał:

„Europa posiada wachlarz żywotnych interesów, z którymi to my nie mamy żadnych lub w najlepszym wypadku bardzo odległe związki. Stąd jest ona uwikłana w liczne kontrowersje, których przyczyny muszą być niezmiennie bardzo odległe od naszych trosk. Byłoby zatem nieroztropne dać się wciągnąć, jakimikolwiek sztucznymi więzami, w codzienne, zmienne koleje europejskiej polityki czy też zwykłe kombinacje i kolizje jej przyjaźni i nieprzyjaźni. Nasza odrębna i odległa pozycja zachęca i pozwala na przyjęcie innego postępowania (...) Dlaczego, poprzez związanie swego losu z jakąkolwiek częścią Europy, uwikłać nasze bezpieczeństwo i dobrobyt w pułapkę europejskiej ambicji, rywalizacji, interesu, humoru czy kaprysu?”³⁴

Dziś można by odwrócić sytuację i po zamianie słów „Europa” na „USA” w przemówieniu Washingtona, słowa te brzmiałyby naturalnie w ustach kontynentalnych polityków europejskich podczas sporów wokół interwencji w Iraku. Z tą różnicą, że w zglobalizowanym świecie „odrębna i odległa pozycja” często okazuje się złudzeniem.

W Europie istnieje silna pokusa, by za fundament wspólnej tożsamości obrać właśnie antyamerykanizm. Kontrowersyjna decyzja o podjęciu działań zbrojnych dała asumpt to nasilenia tego procesu. Słynny manifest J. Derridy i J. Habermasa oraz towarzyszące mu wypowiedzi zaproszonych do dyskusji filozofów z Europy Zachodniej³⁵ stanowiły próbę zadekretowania wspólnej antyamerykańskiej tożsamości dla całego kontynentu oraz wykluczenia nieakceptujących takiej postawy z grona prawowitych „Europejczyków”:

³³ O. Croci, *A Closer Look at the Changing Transatlantic Relationship*, „European Foreign Affairs Review”, 8, 480, 2003.

³⁴ 31 maja 2003 r. w opiniotwórczych dziennikach Europy zamieszczono teksty filozofów i pisarzy, uznawanych za wybitnych współczesnych intelektualistów. Pomysłodawcą całej akcji był Jürgen Habermas. Głos zabrali Habermas i Derrida (we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” i „Liberation”) oraz poproszeni o to przez Habermasa: Gianni Vattimo (w „La Stampa”), Umberto Eco (w „La Repubblica”), Richard Rorty (w „Süddeutsche Zeitung”) oraz Adolf Muschg (w „Neue Zürcher Zeitung”).

³⁵ G. Washington, *Farewell Address* (<http://usinfo.state.gov/usa/infousa/facts/democrac/49.htm>).

„Kontynuując refleksje zmierzające do ustalenia, dlaczego czujemy się Europejczykami, a nie Amerykanami, dotrzemy pewnie do odmiennej koncepcji istnienia, innej wizji tego, czym jest 'dobre życie', innego projektu egzystencjalnego. (...) I właśnie z tych powodów – tu zaznaczonych jedynie skrótowo, ale szeroko odczuwanych w świadomości europejskiej – jak powiedziałby Croce 'nie możemy nie nazwać się Europejczykami', również dlatego, że różnimy się od społeczeństwa amerykańskiego duchem. I życzymy sobie, żeby ta różnica stała się zasadą inspirującą politykę. Taką politykę, która będzie w stanie zapewnić Europie godność i znaczenie, do czego ma ona całkowite prawo na arenie międzynarodowej”³⁶.

„Przystąpienie do Unii krajów Europy Wschodniej postawiło obok demokracji dojrzałych i prawie gotowych do zrzeczenia się swej odrębności narodowej demokracje młodsze, dążące do wzmocnienia form dopiero niedawno powstałych rządów krajowych, i to nawet za cenę sojuszy wykraczających poza granice Europy. Tak więc z jednej strony mamy do czynienia ze świadomością i poczuciem tożsamości europejskiej, z drugiej natomiast z elementami prowadzącymi do rozbitcia tej jedności”³⁷.

„W ramach przyszłego ustroju europejskiego nie może być i nie będzie miejsca na separatyzm. Iść na czele nie oznacza wykluczać innych (...) Uchwały większości dotyczące polityki zagranicznej mogą liczyć na akceptację tylko wtedy, gdy przegrywające mniejszości będą solidarne”³⁸.

Takie konstrukcje tożsamościowe pociągają też za sobą konieczność przedstawienia określonych narracji dotyczących przeszłości:

„W czasie zimnej wojny Europa wpadła z deszczu pod rynek: zaledwie uporala się z jednym światowym konfliktem, została zmuszona do podporządkowania się dwu innym kolosom – Stanom Zjednoczonym i Związkowi Radzieckiemu. Każde z dwóch mocarstw rozgrywało na jej terenie swoje własne interesy (...) Wmieszane w samo epicentrum gry, która je przerastała, państwa europejskie musiały dostosować swoją politykę zewnętrzną do jednego z dwóch bloków, z którymi się utożsamiały, akceptując ideę wspólnej polityki obronnej (*NATO* albo Układ Warszawski). Wprawdzie ten układ zmienił się po upadku muru berlińskiego, ale drastyczna zmiana nastąpiła dopiero w ostatnich latach, może nawet w momencie, kiedy to wyszło na jaw umiarkowane zainteresowanie, jakie Amerykanie wykazali w kwestii bałkańskiej”³⁹.

Antyamerykańskie konstrukcje tożsamościowe dla jednoczącej się Europy wymagają poważnych manipulacji i zbudowania narracji historycznej, w której USA i ZSRR oraz życie po obu stronach „żelaznej kurtyny”, w tym stopień suwerenności i wolności obywateli, będą postrzegane jako równorzędnie. Co więcej, Europa sama miała „uporać się” ze „światowym konfliktem”, jakim była II wojna światowa, a zapewne potem również sama się odbudowała. Sytuacja taka rodzi zaś naturalne tracenia tożsamościowe z „nową” Europą, mającą za sobą zupełnie inne doświadczenie historyczne i wynikające z niego całkowicie odmienne postrzeganie USA. Odmienność historycznego doświadczenia „starej” i „nowej” Europy po II wojnie światowej jest czynnikiem ogromnie utrudniającym stworzenie

³⁶ G. Vattimo, *Dom Europa*, „Krytyka Polityczna” nr 5, 2004, s. 165.

³⁷ U. Eco, *Europa między odrodzeniem a upadkiem*, „Krytyka Polityczna” nr 5, 2004, s. 161.

³⁸ J. Derrida, J. Habermas, *Po wojnie: odrodzenie Europy*, „Krytyka Polityczna” nr 5, 2004, s. 154. Tekst ukazał się również w „Gazecie Wyborczej” 10 VI 2003 r. pt. *Europa, jaka śni się filozofom*.

³⁹ U. Eco, *op. cit.*

wspólnej europejskiej tożsamości, dzieli bowiem nie tylko stosunek do USA, ale także do Rosji, do socjalizmu czy do religii. W perspektywie konstruktywistycznej, podobnie jak w realistycznej, postawa „nowej” Europy ma istotne znaczenie dla relacji transatlantyckich oraz układu sił na kontynencie. Tak jak w tej drugiej może być obok Wielkiej Brytanii istotnym czynnikiem równoważącym próby politycznego zdominowania regionu i nadania mu antyamerykańskiego charakteru przez mocarstwa regionalne, tak w tej pierwszej może uniemożliwić stworzenie wspólnej antyamerykańskiej tożsamości europejskiej, wymagałoby to bowiem przejścia przez nią wizji historii II połowy XX w. radykalnie odmiennej od jej własnego doświadczenia.

Próby budowania wspólnej antyamerykańskiej tożsamości europejskiej służyły interesom Paryża i Berlina, zmierzającym do uczynienia z Europy francusko-niemieckiego kondominium i dyscyplinowania niemałej liczby sprzeciwiających się takiemu stanowi rzeczy, bardziej proamerykańskich państw (Wielka Brytania, Hiszpania, Włochy, Holandia, Dania oraz Polska i inne kraje „nowej” Europy). Póki co okazały się jednak nieudane i nie zdołano stworzyć kontynentalnej (euroazjatyckiej) koalicji w opozycji do USA, nawet w proteście przeciwko zawsze kontrowersyjnej decyzji o podjęciu działań wojennych. Próby te wyrządziły jednak stosunkom transatlantyckim ogromne szkody, a ewentualne umocnienie i utrwalenie antyamerykańskich resentymentów w Europie grozi ich zrujnowaniem.

W czasie transatlantyckiego kryzysu wskazać można działanie opisywanych przez A. Wendta mechanizmów *role-taking* i *casting*, przy czym obie strony „obsadzały” się w niefortunny i zupełnie odmienny sposób. USA widziało siebie jako odpowiedzialnego i zdeterminowanego rzecznika wolności i demokracji, myślącego strategicznie, motywowanego ideałami i podejmującego trudne decyzji dla dobra ogółu. Europę „obsadzało” zaś w roli aktora nielojalnego i tchórzliwego, biernego i potrafiącego tylko krytykować, podczas gdy inni „wyciągają za nich kasztany z ognia”. Z kolei „definicja sytuacji” „starej” Europy wyglądała odwrotnie. Widziała się ona w roli aktora rozważnego i doświadczonego, cechującego się umiarkowaniem, kooperującego i pokojowego, USA „obsadzając” zaś w roli podmiotu lekkomyślnego, wręcz prostackiego i fundamentalistycznego lub być może cynicznego, baczącego na własne korzyści pod pozorami idealistycznych pobudek, na pewno zaś działającego zbyt gwałtownie, jednostronnie i bez należytej konsultacji z innymi. Owe sprzeczne „definicje sytuacji” jeszcze bardziej potęgowała postawa krajów „nowej” Europy i obsadzanie ich w roli: lojalnych, wiarygodnych i odpowiedzialnych partnerów, w dodatku dynamicznych i rozwijających się w opozycji do dwulicowej i pogrążonej w stagnacji „starej” Europy (perspektywa USA) lub właśnie nielojalnych, niewiarygodnych i nieodpowiedzialnych, a w dodatku „niedojrzałych” „osłów trojańskich” (perspektywa kontynentalnej Europy). Obrazu całości dopełniała dyskusja o multilateralizmie i unilateralizmie, jak słusznie zauważano, pojęciach często mających jedynie maskować niechęć Europy do działania i niechęć USA do konsultowania się z innymi.

Robert Kagan w swym błyskotliwym esej, pisząc o Marsjanach i Wenusjanach zamieszkujących odmienne planety, posłużył się oczywistym przejaskrawieniem⁴⁰. Niemniej jednak faktem jest, że mieszkańcy obu krańców Atlantyku, zdają się zamieszkiwać coraz bardziej odmienne światy. Zgrabnie ujmuje się to niekiedy w formułę różnicy pomiędzy 9/11 i 11/9, odnosząc się do zburzenia muru berlińskiego oraz ataku na *World Trade Center*, z których pierwsze ma mówić „teraz przed nami wszystko, co najlepsze”, a drugie „przed nami wszystko, co najgorsze”, pierwsze kończyć stulecie wojen totalnych dla Europy, drugie rozpoczynać stulecie globalnych konfliktów dla USA. „Wojna z terroryzmem” z całą mocą ujawniła niedoceniane dotąd różnice po obu stronach Atlantyku, fundamentalnie niekiedy różne postrzeganie rzeczywistości stosunków międzynarodowych w dużej mierze powodowane głębokimi różnicami kulturowymi.

Obie strony Atlantyku cechuje odmienny stopień tolerancji na zagrożenie zewnętrzne. Europa zdaje się tolerować niższy stopień bezpieczeństwa, od dziesięcioleci nauczona żyć z terroryzmem w postaci *IRA*, *ETA* czy wcześniej rewolucjonistów z „Czerwonych Brygad” *etc.* Reakcja Amerykanów po 11/9 wydaje im się przesadzona. Transatlantyckich partnerów, a szczególnie ich społeczeństwa, coraz bardziej dzieli też stosunek do użycia siły militarnej w polityce międzynarodowej oraz do zasady suwerenności państwa. W Europie żywa pozostaje pamięć o II wojnie światowej jako potwornym kataklizmie i poczucie dumy z projektu integracji kontynentu, mającego zakończyć stulecia wojen. Pacyfizm jest popularnym poglądem, szczególnie w tak kluczowym dla stosunków transatlantyckich kraju jak Niemcy. Posługując się zarysowaną wyżej klasyfikacją porządków międzynarodowych A. Wendta zjednoczona Europa zdaje się zmierzać od „porządku Locke’a” do „porządku Kanta”, podczas gdy globalny hegemon chcąc nie chcąc musi zmagać się ze światem wciąż w dużej mierze działającym według „logiki Hobbesa”. Europa przywiązuje dużą wagę do nienaruszalności suwerenności państwa, nawet gdy w grę wchodzi włączyć względy humanitarne (wyjątkiem było Kosowo). Kontrastujące ze sobą doświadczenia pierwszej i drugiej połowy XX w. skłaniają ją do wyrzeczenia się używania siły w stosunkach między państwami. Niechętnie patrzy na amerykański projekt szerzenia wartości demokratycznych, postrzegając go często jako formę krucjaty. Tutaj również istotną rolę grać może historia oraz inny rodzaj kultury politycznej. Nad europejskim myśleniem o polityce zagranicznej wciąż zdaje się ciążyć dziedzictwo XIX-wiecznej *Realpolitik* oraz polityki „równowagi sił”, nad amerykańskim z kolei idealizm Wilsona, czy wcześniejszy Ojców Założycieli, pragnących stworzyć ład odbiegający od stosun-

⁴⁰ R. Kagan, *Potęga i Raj. Europa i Ameryka w nowym porządku świata*, Warszawa 2003. Kagan w swojej pracy łączy analizę różnic kulturowych z perspektywą realizmu. Jego zdaniem każda ze stron opozycji unilateralizm-multilateralizm wybiera dany wzór postępowania z konieczności, decydując się na to, co zapewni jej najsilniejszą z możliwych pozycję i zdolność wywierania wpływu na bieg wypadków.

ków cechujących Stary Świat. „Starej” Europie, przywykłej do cynizmu w polityce międzynarodowej i nawykłej do maskowania jej szlachetnymi pobudkami, być może tym trudniej nie postrzegać projektu szerzenia demokracji jako li tylko gry pozorów służącej w istocie poszerzaniu amerykańskich wpływów lub zapewnieniu kontroli nad źródłami surowców.

„Odkąd tylko polityka zagraniczna stała się dla nich przedmiotem rozważań, Amerykanie przypisywali systemowi równowagi sił wszystkie gehenny Europy. Europejscy przywódcy zaś, odkąd Europa po raz pierwszy stanęła w obliczu amerykańskiej polityki zagranicznej, z podejrzliwością podchodzili do przypisanej sobie przez Amerykę misji reformy globalnej. Obie strony zachowywały się tak, jakby ta druga z własnej woli wybrała swój sposób prowadzenia dyplomacji i mogła, gdyby była mądrzejsza lub mniej wojownicza, wybrać inną, może łatwiejszą do akceptacji metodę.

W rzeczywistości zarówno amerykańskie, jak i europejskie podejście do polityki zagranicznej zostało zdeterminowane odmiennymi warunkami. Amerykanie zasiedlili niemal pusty kontynent, osłaniany dwoma oceanami od zakusów drapieżnych mocarstw, za jedynych sąsiadów mając słabe kraje. Nigdy nie spotkali się z żadną potęgą, którą musieliby równoważyć, trudno zatem wymagać, by równowaga sił stanowiła dla nich istotny problem, nawet jeśli by przyjąć, że przywódcy Ameryki wpadliby na dziwaczny pomysł odtworzenia europejskich warunków w społeczeństwie, które odwróciło się od Europy”⁴¹.

To napięcie między *Realpolitik* a idealizmem właściwym obu stronom Atlantyku, postrzeganym jako dwa sposoby uprawiania polityki, istniało więc zawsze i jest m.in. konstrukcyjną osią cytowanej wyżej monumentalnej *Dyplomacji* Kissingera. Dychotomia ta zdaje się kształtować sytuację, gdy teraz wielu komentatorom wydaje się, iż nastąpiło odwrócenie ról, tzn. USA stosują tradycyjną politykę europejską, a Stary Kontynent skłania się ku polityce idealistycznej. Nie jest to do końca prawdą, bowiem polityka republikańskiej administracji Busha łączy w sobie cechy tradycyjnie przypisywane idealistom (przekonanie o dobroczynnych skutkach demokracji, czy szerzej – o uniwersalności ideałów amerykańskich) z brakiem niechęci do rozwiązań militarnych, nawet podejmowanych unilateralnie. Jeżeli chodzi natomiast o państwa europejskie, to uzasadniony wydaje się pogląd, iż nie prowadzą już polityki siły i skłaniają się ku rozwiązaniom multilateralnym, prawu międzynarodowemu i międzynarodowym instytucjom, dlatego, iż nie mają środków do prowadzenia tej pierwszej i to drugie znacznie lepiej służy ich interesom. Innymi słowy uczynili cnotę z konieczności. Idealistyczny zapał zawsze budzi jednak nieufność i podejrzania, iż służy tylko wygodnemu pozorowaniu praktyk imperialnych. „W Europie Zachodniej społeczeństwa lubią, gdy politycy są wyrafinowanie przebiegli, cyniczni i osadzeni w intelektualnej tradycji Oświecenia. Twardość, determinacja i publiczne wyrażanie wiary jest postrzegane jako nienormalne”⁴².

⁴¹ H. Kissinger, *Dyplomacja*, Warszawa 2003, s. 20.

⁴² R. Sikorski, *Congressional Testimony*, 17 VI 2003.

Niezależnie od tych tradycyjnych różnic w kulturze politycznej Europejczycy zdają się coraz bardziej zamieszkiwać zupełnie inny świat niż ich partnerzy z Atlantyku. Zjednoczona Europa, ponowoczesna, postnarodowa, to, przynajmniej dla jej rdzennych mieszkańców enklawa swobód, pokoju i dobrobytu, ów „raj” z tytułu eseju Kagana w oryginale przeciwstawiającego *power* i *paradise*. Cechuje go też typowy dla postindustrialnych społeczeństw zanik „etyki wojownika”, koncentracja na stylu życia, przyjemnościach, własnym dobrobycie. W świecie *paradise* panuje „porządek Kanta”, wojna nie jest już legitymizowanym środkiem osiągania jakichkolwiek celów, pozostawia się je dyplomacji i „miękkiej sile”. Zupełnie inny jest stosunek do religii⁴³. Poza kosmopolitycznymi elitami Wschodniego Wybrzeża i Kalifornii, społeczeństwo USA jest znacznie bardziej konserwatywne, co pokazuje szczególnie wyraźna reelekcja G. Busha, mimo zmasowanej krytyki prezydenta ze strony elit intelektualnych, medialnych i artystycznych. Społeczeństwa po obu stronach Atlantyku dzielą dziś głębokie różnice kulturowe, ujmowanej niekiedy w formułę stosunku do *God, Guns, Gays*.

Wobec pogłębiających się różnic kulturowych pomiędzy społeczeństwami po obu stronach Atlantyku tym większego znaczenia nabiera „dyplomacja publiczna”. Panuje dość zgodna opinia, że zabiegi wokół interwencji w Iraku były w jej kategoriach ogromną klęską. W europejskiej opinii publicznej dominowało głębokie niezrozumienie dla amerykańskich celów i motywów, skutkujące przypisywaniem USA jak najgorszych intencji („wojna o ropę” itd.) Pogłębiające się różnice, o których wspominałem wyżej, nie zmieniają faktu, iż co najmniej w kategoriach kulturowych Europa wciąż pozostaje potencjalnie najbliższym i najbardziej naturalnym sojusznikiem USA. Tyle, że sojusz ten nie jest już tak oczywisty, jak w czasach zimnowojennych, wobec zaniku wspólnego wroga jako najsilniejszego czynnika jednoczącego oraz zmieniającego się kulturowego kształtu Europy. Stąd wymaga on znacznie więcej usilnych i sprytnych zabiegów, by przedstawić swój punkt widzenia i przekonać do swoich racji. W ponowoczesnym społeczeństwie informacyjnym niezbędna okazuje się opisywana przez J. Arquillę i D. Ronfeldta *Noopolitik*. „W świecie *Realpolitik* gra toczy się o to czyja siła militarna i ekonomiczna zwycięży. W świecie *Noopolitik* gra może toczyć się przede wszystkim o to czyja opowieść zwycięży”⁴⁴ – twierdzą analitycy *RAND Corporation*. *Noopolitik* wymaga

⁴³ Socjolog Peter Berger wspomina np. „Parę lat temu jadłem śniadanie w hotelu w teksaskim mieście Austin. Przy sąsiednim stoliku czytali gazety dwaj mężczyźni w średnim wieku. W pewnej chwili jeden podniósł wzrok i powiedział: 'Na Bliskim Wschodzie robi się gorąco'. Po chwili dodał: 'Zupełnie tak, jak przepowiedziano w Biblii'. Niedługo potem byłem w Londynie i pewnego niedzielnego poranka nasza mnie ochota, by wybrać się na nabożeństwo anglikańskie. Spytałem pewnego człowieka – a nie był to żaden pakistański emigrant, lecz młody Anglik imieniem Warren – o najbliższy kościół anglikański. Spojrzał na mnie pustym wzrokiem i spytał: 'To coś katolickiego?'. 'Niezupełnie' – odparłem”. Patrz: P. Berger, *Zachód z Biblią w tle*, „Gazeta Wyborcza” 9-10 VII 2005.

⁴⁴ J. Arquilla, D. Ronfeldt, *Emergence of Noopolitik. Toward an American Information Strategy*, Santa Monica 1999, s. 53.

niebezpośredniego wpływania na globalne przekazy medialne i ich audytoria poprzez ujmowanie polityki w spójne i wiarygodne narracje, a następnie lansowanie ich i konstruowanie „definicji sytuacji” zgodnie z własnymi preferencjami. USA poniosły tutaj porażkę, w większości społeczeństw europejskich zdecydowanie zwyciężyła bowiem opowieść, w której G. Bush był „lordem Vaderem”, a nie „rycerzem Jedi”. Wydaje się, iż USA brakowało cierpliwości dla żmudnych i wymyślnych zabiegów „dyplomacji publicznej”. Sprzeciwiający się interwencji Europejczycy mogli usłyszeć: „Prowadzimy wojnę obronną (...) Jeśli Europejczycy nie chcą brać w niej udziału, w porządku. Jeśli chcą się poddać, w porządku. Niech więc potrzywiają nam marynarkę, ale niech nie wiążą nam rąk”⁴⁵. Powstała sytuacja, o której francuski politolog pisał: „Waszyngton nazbyt łatwo traktuje Europę z mieszaniną obojętności, współczucia i obraźliwego paternalizmu. Zdaje się w niej widzieć coś pośredniego między zastępcą szeryfa a swoją sprzątaczką”⁴⁶. Zaowocowała ona klęską w kategoriach „dyplomacji publicznej” czy *Noopolitik* oraz powiązanej z nimi „miękkiej siły”, co przyznają nawet analitycy bliscy paradygmatowi realistycznemu⁴⁷, których trudno posadzać o przecenianie wspomnianych czynników.

Kryzys wokół interwencji w Iraku ujawnił napięcia i trudności istniejące w relacjach transatlantycznych od zakończenia zimnej wojny. Po gorącym 2003 r. przyszło pewne uspokojenie, obie strony zrozumiały wagę kryzysu i starano się go załagodzić, czego wyrazem była m.in. wizyta prezydenta Busha w Europie na początku 2005 r. Na horyzoncie nabrały ostrości nowe problemy (program atomowy Iranu), a ponadto obie strony niedawnego transatlantycznego sporu zaabsorbowane są wewnętrznymi problemami (kłopoty w Iraku i spadek popularności G.W. Busha w USA, walka o sukcesję po J. Chiracu i niepokoje społeczne we Francji). Nowa kanclerz Niemiec zdaje się zmierzać do przywrócenia tradycyjnej powojennej roli Niemiec jako lojalnego i najważniejszego po Wielkiej Brytanii sojusznika USA na kontynencie. Taka polityka Niemiec niewątpliwie stabilizuje relacje transatlantyczne, a powrót Berlina do obozu atlantyckiego zawieszają możliwość antyamerykańskiego zwrotu Starego Kontynentu. Jednocześnie trzeba zauważyć, że sytuacja taka powoduje spadek relatywnego znaczenia Polski i krajów Europy Środkowo-Wschodniej dla polityki USA w regionie. Niemcy z uwagi na swój ekonomiczny i polityczny potencjał są niewątpliwie bardziej pożądanym sojusznikiem, zawsze wysoko cenionym i postrzeganym jako kraj kluczowy dla stosunków transatlantycznych (szczególnie w kalkulacjach dokonywanych z pozycji realistycznych, jak przytaczane tu wystąpienia J. Hulsmana i S. Huntingtona).

W analizach dokonywanych w ramach paradygmatu (neo)realistycznego zanik partnerstwa transatlantycznego jest jednak tylko kwestią czasu, a fakt jego dalszego

⁴⁵ Ch. Krauthammer, cyt. za: T. Judt, *Krucha potęga*, „Gazeta Wyborcza” 7-8 IX 2002.

⁴⁶ D. Moisi, *op. cit.*

⁴⁷ J. Hulsman, *op. cit.*

istnienia wynika jedynie z braku wystarczającego potencjału Europy (czy raczej dwóch jej mocarstw kontynentalnych) do rzucenia wyzwania globalnemu hegemonowi. Stanowisko konstruktywistów byłoby zapewne bardziej optymistyczne. Co prawda partnerów dzielią głębokie i wciąż narastające różnice kulturowe, jednocześnie jednak i tak pozostają zdecydowanie bliżsi względem siebie niż względem innych uczestników polityki międzynarodowej. W tym ujęciu istotny jest aspekt świadomości, tożsamości i samo-określenia aktorów międzynarodowej sceny. Decydujące dla przyszłości stosunków transatlantyckich są więc odpowiedzi na dwa pytania. Czy Europa chce być partnerem czy konkurentem USA, a jeśli tym drugim, to czy posiada wystarczającą wolę i potencjał do odegrania tej roli? Czy z kolei USA chcą zjednoczonej i silnej Europy czy wolałyby raczej widzieć ją w stanie bliskim obecnemu – podzieloną, słabą militarnie, borykającą się z ekonomicznymi i demograficznymi problemami, będącą wdzięcznym polem do stosowania taktyki *cherry-picking*? Wreszcie pozostaje pytanie najważniejsze dla krajów „nowej Europy”: o samo-ograniczenia w stosowaniu tej taktyki przez USA i o ich stosunek do sojuszy, na ile cenią sobie trwałość zobowiązań i lojalność partnerów, a na ile własną swobodę w tasowaniu kart?

ABSTRACT

The article deals with turbulence in transatlantic relations over the war in Iraq. The author examines these developments in the perspective of two separate international relations theories: (neo)realism and social constructivism, whose main assumptions are briefly presented. The article tries to answer the following questions: How is the current state of transatlantic relations perceived from the point of view of these theoretical systems? Are they able to propose some non-trivial explanations? Was the post-Cold War tension in transatlantic relations predictable on the basis of these theories? And finally – do they offer predictions of the future course of events?